

Brzechwiada 2026

Początek tekstu autorstwa Marty Milewskiej

Zwierzęta z węgrowskiego lasu

Mieszkańcy Węgrowa przez setki lat żyli z lasem w zgodzie. Brali z niego tylko tyle, ile potrzebowali. Szanowali dużą zwierzynę, ale i wszystkie leśne stworzenia, które i im sprzyjały. Las ich żywił, ale i leczył. Mądre babki znajdowały w nim zioła, którymi leczyły, i przyprawy, dzięki którym jadło smakowało wybornie. Kobiety wracały w boru z koszami pełnymi jagód lub grzybów, a mężczyźni z sieciami pełnymi ryb. Leśne jeziora i Liwiec chętnie dzieliły się swoim dobrem.

Myśliwi przed wejściem w gęstwinę zdejmowali czapki.

– Bierzemy tylko tyle, ile nam trzeba – powtarzali.

– Las pamięta – dodawały babki.

I rzeczywiście, pamiętał. Za dobro odpłacał dobrem. Sarny podchodziły na skraj łąk. Leśne ule uginały się od miodu. Wilki omijały zagrody, a niedźwiedzie nie szukały zwady.

Aż do czasu, gdy do Węgrowa przyjechał niejaki mistrz Twardowski. Był to człowiek tajemniczy. Ludzie szeptali o jego słabości do magii i zakazanych ksiąg. Parał się także alchemią, marząc o wyprodukowaniu złota w czystej postaci. Początkowo ludzie zerkali na przybysza z ciekawością. Potem z niepokojem. Coraz częściej opowiadano w karczmie o jego dziwnych zwyczajach.

– Służki z dworu powiadają, że ten czarci mag jakieś eksperymenty w pałacu robi – rzekł bartnik do kowala.

– Sam widziałem, jak po pałacowym ogrodzie skakał zając z pawim ogonem! – wtrącił się koniuszy. – Przysiąc mogę, że widział – wałnął się pięścią w pierś na potwierdzenie swoich słów.

– Prawda to – poparł go sam karczmarz. – Nie tylko zające ludziska widzieli, ale i kozy z ptasimi głowami i nawet sarnę ze skrzydłami naszym jastrzęb!

Po sali przeszedł szmer. Ludzie kręcili głowami z niedowierzaniem.

– Dość tego – powiedziała jedna z kobiet. – Dzieci boją się wyjść na pole.

– Racja to, racja! – wtórowały jej inne kobiety.

– Dobrze mówi. Tak się nie godzi – odezwał się w końcu najstarszy gospodarz. – Trza iść do pałacu i powiedzieć jasno, że zgody naszej na takie bezceństwa nie ma. To nie po bożemu, takie rzeczy czynić. W Węgrowie nie ma miejsca na magię.

Jak ludzie uradzili, tak zrobili. Poszli do pałacu na rozmowę i wyłożyli, co im na sercu leżało. I stało się, jak chcieli. Twardowski już więcej w Węgrowie swoich czarów nie czynił, a ludzie odetchnęli. Tylko na polach i torfowiskach jeszcze długo spotkać można było

dziwaczne stwory wyczarowane przez Twardowskiego. Biegały tak, szukając, nie wiedząc czego, ni to zwierzęta, ni mary.

I tak niby wszystko wróciło do porządku, a jednak coś się zmieniło.

Leśne zwierzęta stały się jakby bardziej płochliwe. Rzadziej je widywano. Nawet ptaki nie przysiadły już na węgrowskich dachach. Nie było słycać ich świergotu o poranku, ani wycia wilków w nocy. Las jakby zamknął się w sobie. Gęstwiny stały się gęstsze, mokradła bardziej grząskie, a leśne jeziora przykryły się zieloną rzęsą.

Mężczyźni wracali z polowań bez zwierzyny, a kobiety wychodziły z lasu z pustymi koszami.

– Nawet jagódek coraz mniej – lamentowały. – Las nam już nie tak życzliwy jak dawniej.

– To kara za czary Twardowskiego – orzekła najstarsza babka. – Las już nam nie ufa – powiedziała cicho.

Po czasach dobrych, przyszły złe. Przez drogi i pola przetoczyły się obce wojska. Zboże spalono. Spichlerze opróżniono. Nastąpiła bieda i głód. Starsi oddawali pożywienie młodszym, sami tracąc siły i wiarę w lepsze jutro. Po wielu tygodniach ci, którzy przeżyli, nie mieli już siły, aby szukać pożywienia i opiekować się potomstwem. Dorośli leżeli po izbach bez siły i nadziei.

Wtedy pewna dziewczynka, Zosia, wyszła ze swojej chałupki i resztką siły zawołała:

– Idźmy do lasu po jedzenie. Jeśli my nie pójdziemy, nikt nie pójdzie.

– Do lasu? – szepnął Staś. – Przecież las nie jest nam życzliwy. Wszyscy to wiedzą. Nic tam nie znajdziemy. Tylko ciemność i chłód.

– Tam są wilki i niedźwiedzie. Biada nam, jeśli ich spotkamy! – zachlipała Małgosia.

– A tu jest głód. Nie mamy wyjścia – odparła Zosia.

Zapadła cisza.

– Może nie będzie tak źle. Moja babcia mówiła, że las pamięta dobre rzeczy – odezwała się najmłodsza Hania. – Podobno dawno temu ludzie i zwierzęta żyli w przyjaźni – dodała.

O świcie wyszli. Było ich sześcioro. Bez kos, bez siekier. Tylko z małym bochenkiem chleba.

Na skraju lasu zatrzymali się i z trwogą popatrzyli na szumiące drzewa.

– Jeśli coś się wydarzy, nie uciekamy – powiedziała Zosia. – Stoimy razem.

I tak jedno po drugim dzieci zniknęły w starym i wilgotnym lesie. Nikt z dorosłych nawet nie zauważył ich nieobecności. Słońce wschodziło, drzewa szumiały, a z głębi lasu słycać było tylko tajemnicze pohukiwania.